

Henryk Domański

Dlaczego nie można zrezygnować z socjologii ilościowej?

Dwudziesty wiek, który pod kilkoma względami był epoką rozwoju, upłynął również pod znakiem rozwoju empirycznej socjologii. Badania socjologiczne rzuciły snop światła na mechanizmy społeczne, będące do tej pory przedmiotem teoretycznych dociekań i filozoficznej spekulacji. Na przykład pozwoliły lepiej zrozumieć przyczyny konfliktów, utrzymywanie się różnych form nierówności czy też źródła poparcia społecznego dla rządów w różnych krajach. Dorobek socjologii empirycznej znalazł odzwierciedlenie w dziełach, które zapisały się w historii myśli społecznej jako kamienie milowe. Ponieważ moje uwagi adresowane są do krytyków tych badań, powinni mieć oni świadomość, że nie kto inny, tylko Erich Fromm, pisząc *Ucieczkę od wolności*, oparł tytułową tezę na danych ilościowych – Fromm, zastanawiając się nad przyczynami szerokiego poparcia nazizmu przez klasy średnie, żyjące w poczuciu degradacji, odwoływał się do wyników sondaży wyborczych. Dane te występują również w najbardziej błyskotliwych studiach innych autorów, takich jak Bell, Lipset czy Dahrendorf. Zaryzykowałbym, że bez wyników tych badań nie

byłoby wiarygodnego materiału do publicystycznej refleksji, nie zapominając o krytycznych rozważaniach teoretyków postmodernizmu na temat dylematów społeczeństw postindustrialnych i kryzysu cywilizacji zachodniej. Faktem jest, że wielu autorów oddegnujących się od badań ankietowych stale czerpie z nich inspiracje do własnej twórczości. Jeżeli więc zdarza się im twierdzić, że badania ilościowe dostarczają jedynie powierzchniowych ustaleń, to podcinają gałąź, na której siedzą; nie wiedzą, że mówią prozą, lub nie chcą się do tego przyznawać.

Socjologia rozwijała się wielotorowo. W latach trzydziestych zaczęto stosować badania ankietowe, których masowy rozwój stał się podstawą tak zwanej socjologii ilościowej. Ojczyzną jej są Stany Zjednoczone, a po wojnie przywędrowały one do Europy Zachodniej. We wszystkich krajach głównymi instytucjami prowadzącymi badania ankietowe – nazywane w krajach anglosaskich *surveyem* – są ośrodki badań opinii publicznej (w Polsce ich typowym reprezentantem jest CBOS), firmy zajmujące się badaniami rynku (jak SMG/KRC Media Poland czy Demoskop)

i ośrodki akademickie reprezentujące nurt socjologicznych badań *surveyowych*.

Wzrost liczby *surveyów* sprawił, że sondaże prowadzone przez ośrodki badania opinii publicznej i firmy marketingowe kojarzone są z badaniami prowadzonymi przez socjologów posługujących się podobnymi metodami. Jednakże są to inne dziedziny i należy je od siebie oddzielać. Socjologia badań ankietowych nie zajmuje się analizą odpowiedzi na konkretne pytania, tylko próbuje dotrzeć do mechanizmów i ukrytych prawidłowości, jest użytecznym narzędziem w diagnozowaniu zjawisk, a w odniesieniu do analizy takich aspektów rzeczywistości, jak ostrość barier awansu społecznego czy rozpoznanie stanu ubóstwa, nie wymyślono dotychczas lepszych metod. Badania te są również niezastąpionym narzędziem w trafnym odczytywaniu nastrojów społecznych, jeżeli stosuje się je z socjologiczną wyobraźnią i wyczuciem. Wiadomo też, że nie można się nimi posługiwać bez ograniczeń i nie nadają się one do studiowania złożonych aspektów rzeczywistości. Najlepszego materiału na temat obyczajowości klasy robotniczej dostarczyły obserwacje i pogłębione wywiady prowadzone przez socjologów brytyjskich. Nie da się inaczej uchwycić subtelności języka, jakim posługuje się angielska *working class*, podobnie jest z preferencjami kulinarnymi i niuansami ubioru. Socjologiczne studium Richarda Hogarta *Spojrzenie na kulturę klasy robotniczej w Anglii* dostarczyło w zakresie badań „jakościowych” pogładowego wzoru.

Przechodzę do sedna, czyli właściwie przypominam o prawdach, które powinny być znane specjalistom, a niekoniecznie zainteresują czytelnika spoza profesjonalnego kręgu. W kontekście Polski warto o tym pisać dlatego, że krytycy badań opinii publicznej i marketingu wychodzą na szersze wody. W lipcowym numerze „Res Publici Nowej” Sergiusz Kowalski i Nina Kraśko sformułowali kilka mocnych tez pod adresem socjologii ilości-

wej w ogóle, łącząc trafne uwagi z uproszczoną krytyką. Będzie z korzyścią dla socjologii i opinii publicznej, jeżeli oddzielimy rzeczy ważne od nieporozumień.

Rozważania wspomnianej pary autorów zaczynają się od krytyki wykorzystywania danych ankietowych do nieuprawnionych interpretacji. Kraśko i Kowalski mają rację, gdy dają do zrozumienia, że niektórzy „socjologowie od sondaży” zachowują się tak, jakby objawiali kanoniczne prawdy. Wykorzystują to media odwołujące się do autorytetu nauki, gdy trzeba na przykład wyjaśnić ogółowi, co myślą ludzie deklarujący czterdziestoprocen- towe poparcie wyborcze dla SLD czy też wyrażający pogląd, że „sprawy kraju idą w złym kierunku”. Bywa, że w interpretacjach tych wygłaszanych z dużą pewnością w TV, radiu czy w prasie zapomina się, iż – po pierwsze – prawidłowości chwywane w sondażach informują wyłącznie o tendencjach, które realizują się tylko z określonymi prawdopodobieństwami, to znaczy nie są bezwyjątkowe. Po drugie zaś, są to w gruncie rzeczy hipotezy. Oznacza to, że informują one jedynie o tym, jak prawdopodobnie jest, ale być nie musi, a interpretacje przypisywane odpowiedziom respondentów obciążone są ryzykiem błędu. Odpowiedzi te są bowiem tylko przybliżonymi wskaźnikami „prawdziwych” mechanizmów – o tym zaś, na ile wskaźniki są prawdziwe, decyduje trafność przyjmowanych założeń, czyli wiedza i kompetencje autorów.

Nie byłoby nad czym dyskutować, w końcu olśnienia samouków nie są czymś nowym, jednak dla Kraśko i Kowalskiego jest to tylko punkt wyjścia do odnowienia starego sporu między tak zwaną socjologią jakościową i badaniami ilościowymi, przy czym określenie „spór” jest w tym miejscu mylące, ponieważ dotychczas działo się tak, że stroną atakującą byli przedstawiciele „miękkiej socjologii” – druga strona, przytłoczona stertami ankiet, odpowiada sporadycznie i tylko wtedy, gdy znajduje czas na polemikę.

Podstawowe zarzuty sformułowane pod adresem socjologii ilościowej w zasadzie nie zmieniają się, odkąd ona istnieje. Przypomnę je, sytuując głos Kraśko i Kowalskiego na tle tego, co powiedziano do tej pory. Czytelnik nie powinien odnieść mylnego wrażenia, że socjologia ilościowa znajduje się po raz kolejny w odwrocie.

Po pierwsze, socjologii ilościowej ma się za złe orientację pozytywistyczną, czyli dążenie do obiektywizmu, ścisłej identyfikacji analizowanych zjawisk i precyzyjnego określenia siły występujących między nimi zależności. Kowalski i Kraśko wysuwają w tym miejscu postulat rezygnacji z „wielkiego programu Comte’a” (uznawanego za ojca akademickiej socjologii) na rzecz „efektywnego badania ograniczonych obszarów życia ludzkiego”. Sugeruje to pewien minimalizm o zawężonych horyzontach, ale zgoda na minimalizm. Są takie obszary rzeczywistości, których nie warto ujmować w formuły ilościowe. Krytyczny wydzwitek ma konstatacja, która mówi o „zachłystnięciu się socjologii amerykańskiej możliwościami matematyki”. Jest to fakt, który należałoby oceniać bardziej kompleksowo. Włączenie statystyki do metodologicznego warsztatu nauk społecznych dodało im impetu i wiarygodności. Dzięki temu dokładniej wiadomo, jak silnie rozpowszechniona jest we współczesnych społeczeństwach wspólnota fundamentalnych norm, na których opiera się stabilność więzi i ładu. Innym niebagatelnym dorobkiem tych badań jest wgląd w mechanizmy obsadzania pozycji społecznych, dystrybucji ważnych dóbr czy drogi awansu w hierarchii zawodowej – na przykład tego, na ile spełniają one postulat równości szans w różnych krajach. Zależności te ustalono, posługując się rozmaitymi miernikami, przez co przywoływane przez Kraśko i Kowalskiego teorie Durkheima, Parsonsa i Webera uzyskały solidne wsparcie w faktach. Bynajmniej nie wynika stąd, że orientacja pozytywistyczna nie powinna być naszym

wzorem. Natomiast wolno sądzić, że celem badań jest docieranie do istoty rzeczy, jak tylko się da, wykorzystując różne metody.

Drugi powtarzający się zarzut od adresem analiz ilościowych dotyczy tego, że ustalenia sformułowane na ich podstawie trącą naiwnością. Najogólniej rzecz biorąc, dzieje się tak dlatego – stwierdzają krytycy – ponieważ ignoruje się tu kwestię „ukrytego znaczenia” analizowanych zjawisk, czyli ich „rozumienia”, ujęcia istoty rzeczy w całości. Ponieważ socjologia ilościowa koncentruje się na prezentacji wskaźników, nie pozwala to jej zgłębić mechanizmów społecznych i wyjaśnić ich tak naprawdę, podczas gdy metodologii „jakościowej” (odwołującej się do technik obserwacji, dokumentów osobistych i wywiadów pogłębionych) podobno jakoś udało się rozwiązać te problemy. Wiara w skuteczność jakościowego podejścia daje również o sobie znać w argumentacji Kraśko i Kowalskiego: „Wiemy na pewno, że antropologia kulturowa nie byłaby możliwa, gdyby Boas, Malinowski i Benedict nie mogli sięgnąć rozumiejące do zasobów myśli społecznej struktury tych ludów”. Krytykowana strona zachowuje wstrzeźliwość w ocenie przydatności tych metod. John Goldthorpe, podsumowując międzynarodową dyskusję, która wywiązała się w czerwcu 1999 roku za pośrednictwem Internetu, stwierdził krótko: mamy do czynienia z metodami, które ani nie posługują się skodyfikowanymi regułami postępowania w zbieraniu i analizie faktów, jak w socjologii ilościowej, ani też fakty te nie są tak dobrze zdefiniowane; z czego wynika, że *quals* (skrót od *qualitative methods*) nie odwołują się do formalnie określonych kryteriów ścisłości we wnioskowaniu, które pozwalają na przykład stwierdzić, czy analizowane zjawisko w ogóle zachodzi, czy nie zachodzi w sensie statystycznej istotności i czy występuje związek między rozpatrywanymi zjawiskami – na skutek czego ustalenia są arbitralne. Wypada zakończyć tę polemiczną dygresję ogół-

niejszym wnioskiem: żadna metoda nie jest pozbawiona wad i zalet, a ponieważ podporządkowane są one rozstrzygnięciu konkretnych problemów badawczych, z żadnej nie należy rezygnować.

Wynikom badań ilościowych zarzuca się również trywialność. Ten trzeci nurt krytyki kierowanej przede wszystkim do badań *surveyowych* sugeruje, że nie odpowiadają one na ważne pytania sterowane przez wielkie teorie i na problemy, którymi żyją ludzie. Stanowisko Kraśko i Kowalskiego w tej kwestii wyraża się stwierdzeniem, że próba wtłoczenia postaw ludzkich „w pakiet Excela czy SPSS owocuje zwykle trywializacją, banalizacją i poznawczym fałszem ubranym w naukowe szaty”. Gdyby powiedzieli to ostrożniej – nie „zwykle”, ale „czasami” – można by się z tą wątpliwością zgodzić. Zarzut ten dotyczy niedoświadczonych badaczy, których zwiódła rosnąca dostępność i zwalniająca od myślenia prostota niektórych technik obliczeniowych. Nie wszyscy wiedzą – fakt ten wymaga mocnego podkreślenia – że w socjologii ilościowej dokonuje się stały postęp związany ze stosowaniem coraz bardziej złożonych analiz. Programy komputerowe oparte na konfirmacyjnej analizie czynnikowej, takie jak na przykład LISREL, a będące standardem światowym, wymagają od autorów wyjścia od spójnej logicznie teorii i testowania hipotez. „Nie widzimy zasadniczej różnicy między wyposażonym w komputery i korelacje socjologiem a przysłowiową babą z magla” – stwierdza para adresatów niniejszego tekstu – co jest jednym z tych charakterystycznych skrótów, jakimi chętnie posługują się socjologowie, którzy nie mieli okazji zetknąć się z warsztatem analiz statystycznych w praktyce.

Towarzyszy temu przekonanie, że socjologia ilościowa ślizga się po powierzchni wydarzeń. Czwarty zarzut ma postać tezy, że badania te są ateoretyczne i nie należy ich traktować poważnie, jeśli ich przedstawiciele twierdzą, że coś wyjaśniają. „Wyjaśnienie ta-

kich, a nie innych odpowiedzi na zadane pytania wymaga odwołania się do jakiejś teorii. Jeżeli jej nie ma – a zwykle jej nie ma – przedstawia się zwykle wyjaśnienia *ad hoc*”.

Kraśko i Kowalski mają rację, piętnując zwyczaj interpretowania danych *ad hoc* – jest to sytuacja, gdy autor za wszelką cenę próbuje wytłumaczyć czytelnikowi, co znaczy dany wynik, ale pierwotna koncepcja nie bardzo pasuje mu do danych. Praktyka wyjaśnień *ad hoc*, będąc ewidentnym zaprzeczeniem scjentyzmu, pozwala obronić każdy rezultat badań w myśl zasady, że jeżeli się już zrobiło badanie, to trzeba je zinterpretować. Nawiasem mówiąc – na tle nauk przyrodniczych – jest to charakterystyczny wyznacznik niedojrzałości socjologii. Ta słuszna skądinąd krytyka nie powstrzymuje cytowanych autorów od przesady. Wyraz „zwykle” powtarza się w wywodach Kraśko i Kowalskiego z tak zastanawiającą stałością, że mogłoby to skłaniać do krzywdzącego wniosku, że ich jedyną lekturą są klecone naprędce raporty i komunikaty z badań, a nie analizy publikowane na przykład na łamach „American Sociological Review”, „American Journal of Sociology” czy „Social Forces” (czytelników spoza profesjonalnego kręgu informuję, że są to nazwy trzech najbardziej cenionych czasopism światowych z zakresu socjologii). W czasopismach tych obowiązuje standardowy wzór pisania artykułów, który czyni zadość wymaganiom zwolenników teoretycznego puryzmu. Standardem jest tam wyspecyfikowanie hipotez *ex ante* (a nie *ex post*) – wyznaczają one kierunek interpretacji, od której nie ma już odwrotu na etapie weryfikacji hipotez i wniosków. W istocie rzeczy, w analizach nastawionych na testowanie hipotez kładzie się nawet większy nacisk na „sterujące” znaczenie teoretycznych przesłanek niż w socjologii jakościowej, zorientowanej bardziej na eksplorację, czyli penetrowanie danych po omacku, bez założonego celu – oczywiście dotyczy to tylko niektórych metod. Dobrą okazją

do propagowania standardów socjologii ilościowej w Polsce stała się coroczna konferencja Komitetu Badań nad Stratyfikacją Społeczną zorganizowana w maju 1999 roku przez Krzysztofa Zagórskiego, dyrektora CBOS-u.

Zakończę usytuowaniem wymienionych powyżej problemów na tle dwóch bardziej fundamentalnych nurtów krytyki, z którymi musi się zmierzyć akademicka socjologia. Pierwszy z nich jest tak stary, jak badania *surveyowe*, a dotyczy możliwości zachowania przez twierdzenia naukowe obiektywnego statusu. Postulat ten, wysuwany przez badaczy ilościowych, pozostających pod wpływem neopozytywizmu, negowany jest przez niektórych reprezentantów jakościowego podejścia. Błędem jest – argumentują krytycy – przekonanie socjologów posługujących się metodami ilościowymi, że możliwe jest niezależenie się od wartości w dziedzinie nauki. Po pierwsze, jest to niemożliwe, po drugie – nawet niepożądane, ponieważ socjologia powinna aktywnie współuczestniczyć w kreowaniu rzeczywistości, formułując wnioski w sprawie przekształcania jej w określonym kierunku w oparciu o wyniki badań, a nawet angażować się w to działanie.

Interesującym kontrapunktem jest krytyka badań socjologicznych jako narzędzia panowania ideologicznego. Największy niepokój wzbudzają tu badania nad strukturą społeczną, które – dostarczając wyników świadczących o stabilności systemów uwarstwienia, mogą utrwalać przekonanie o tym, że immanentną właściwością świata społecznego jest stabilność, a nie zmiana. Zdaniem krytyków jest to jednostronna i niebezpieczna wizja, która może pełnić ideologiczną funkcję legitymizacji istniejącego układu. W świetle tak wielostronnej krytyki powstaje zasadnicze pytanie, dlaczego nie można zrezygnować z socjologii ilościowej? W moim przekonaniu odpowiada ona na zapotrzebowanie w czterech kluczowych dziedzinach.

Po pierwsze, stwierdzenia wyrażone w języku danych ilościowych wskazują na istnienie ważnych faktów, których nie można byłoby ustalić, nie posługując się, dajmy na to, współczynnikami korelacji. Przykładem są badania nad strukturą społeczną, na podstawie których można zidentyfikować hierarchie i wielkość dystansów społecznych między ludźmi, określić siłę i kierunek zmian, otwartość kanałów awansu, a w odniesieniu do lat dziewięćdziesiątych odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu dokonała się degradacja klasy robotniczej, na ile zwiększyła się rola wyższego wykształcenia w kształtowaniu dochodów jednostek lub też czy prawdą jest, że nomenklatura komunistyczna przejęła środki produkcji, tworząc bazę społeczną nowej klasy średniej, co byłoby paradoksem historii. Od razu odpowiadam, że w świetle wyników badań napływ nomenklatury do sektora własności ustępował w znaczącym stopniu sile samorekrutacji właścicieli firm. W piątym punkcie krytyki badań ankietowych Kraśko i Kowalski podkreślają konieczność „dobrej diagnozy bieżącej sytuacji, jak i znajomości praw ogólnych”. Powiedziałbym, że socjologia ilościowa próbuje realizować ten postulat, przekładając aparaturę pojęciową wpływowych teorii na język zależności i wskaźników.

Drugi zysk polega na możliwości orzekania, w jakim stopniu analizowane przez nas zjawiska są prawidłowościami, to znaczy, na ile są one powtarzalne i trwałe. Weźmy dla przykładu jeden z powtarzających się stale wyników badań, jakim jest fakt, że inteligencja i ludzie biznesu wyraźnie bardziej popierają rząd Jerzego Buzka niż kategorie o niższym statusie społecznym, i to niezależnie od sfery rządzenia. Wynikają z tego nietrywialne wnioski na temat źródeł legitymizacji władzy. Możliwość orzekania o prawidłowościach pozwala sprowadzić złożoność życia społecznego do pewnych wzorów. W ten sposób socjologia ilościowa stwarza podstawy do wyjaśniania

rzeczywistości i czyni wiedzę o społeczeństwie nauką – jeżeli przyjmemy, że zdolność do syntetycznego ujmowania odróżnia naukę od nie-naukowych dziedzin wiedzy.

Po trzecie, socjologia *surveyowa* dostarcza stosunkowo pewnej wiedzy o społeczeństwie – nie dotyczy to wszystkich aspektów życia społecznego, ale tych, które można „zmierzyć”. Mówiąc o wiedzy stosunkowo pewnej, mam tu na myśli stopień zaufania do danych. W badaniach *surveyowych*, posługując się metodą losowego doboru próby i po zastosowaniu właściwej techniki analiz, można określić stopień zaufania do uzyskanych wyników i formułowanych na tej podstawie wniosków. Inaczej mówiąc – posługując się technikami ilościowymi, mamy przynajmniej świadomość, na ile poruszamy się w świecie faktów, a nie w świecie fikcji.

Trzeba postawić sprawę jasno – wyniki badań mają dostarczyć tylko najogólniejszego

obrazu. Są dobrym punktem wyjścia do pogłębionych interpretacji, ale nie jest ich celem „psychologiczna sylwetka respondenta”, w czym Kraśko i Kowalski dopatrują się słabości. Prawdą jest, że nawet najbardziej wyrafinowane analizy statystyczne nie zastąpią wyobraźni socjologicznej, o której pisał Mills, niemniej jednak dają przynajmniej obraz sytuacji z lotu ptaka, który można pogłębić, posługując się bardziej „miękkimi” metodami. Zaletą badań ankietowych realizowanych na dużych próbach ludności są ścisłość, zaufanie do wniosków i możliwość formułowania uogólnień. Inne metody nie dostarczyły nic w zamian. W szczególności nie dowiemy się, jak funkcjonuje społeczeństwo polskie, ograniczając się do obserwacji, laboratoryjnych eksperymentów i *case studies*. ●

„Res Publica Nowa” 2000 nr 144